TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, Wydawca i właściciel, 532 Noble Street, CHICAGO, ILLINOIS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

W Stanach Zjednoczonych i Canadzie..$1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii..............$1.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 30. Chicago, Ill., Czwartek, 28 go Lipca, 1898. Rok XII.

Bohaterka z nad Szreniawy.

POWIEŚĆ

Z DZIEJÓW NASZYCH

— PRZEZ —

PAULINĘ KRAKÓW.

. Prawnuczka Piasta
Wśród szczęku broni rodzi się, wyrasta;
Dzieckiem igrała berdyszem ze stali,
Stara piastunka nad dziecięcą głową.
Nuciła starą piosenkę bojową.
Gwarzyła różne ciekawe powieści;
Cóż więc dziwnego, że umysł niewieści,
Zbratał się z wojen obrazem?
Władysław Syrokomla (Córa Piastów.)

Przed obszerny dwór z modrzewia zajechał wóz gęsto i mocno z desek zbity, a do połowy sianem napełniony; zeskoczył z niego raźno pachołek w siwej kurcie, odprzągł dwa woły, któremi powoził i powoli pognał je ku wschodzącemu słońcu, gdzie w czarnej roli kilka takichże par rogatych ciągnęło ciężkie pługi, lgnące głęboko w tłustą, a wiosennemi roztopy rozmiękłą ziemię. Po drodze zatrzymał się pod szopą, wyciągnął z pod niej pług luzem stojący, założył woły i podążył do poprzedzających go w pracy.

— A ho! — zawołał na zbliżającego się jeden z oraczy, starszy od innych wiekiem, a pewnie i znaczeniem, bo postać jego nie siwy samodział, lecz dostatni kożuch barani i takiż szłyk głowę pokrywał.

— Już odpowiedział wjeżdżający na rolę.

— Wymoszczony?

— Jużci!

— No i cóż? widział kto?

— Znać tam śpią, bo cicho i nikogo nie widać.

Mogli spać we dworze, bo rzeczywiście ledwie wczesny, wiosenny świt zarumienił niebo, choć się już na polu czynnie krzątano; od tegoż byli pachołcy i parobcy, a postawieni nad nimi od pana starsi pilnowali tego, by każdy z robotą pospieszał.

Pora była po temu; młoda trawka jak lekki puszek zazieleniła uprawne i obsiane już niwy, kwietniowe słońce dogrzewało ziołom i krzewom, a grube pąkowie pokrywało gęsto giętkie gałązki brzóz, które zwartemi a białemi pniami otaczały szerokie błonia i gęstemi kupkami osłaniały każdy budynek. Dokoła dworu, jak liczne grono służebnic w bieli powiewały gałęźmi, choć jeszcze cienistym liściem nie pokrytemi i z rozwijających się pączków roznosiły tę świeżą, balsamiczną woń brzeziny, miłą powonieniu i zdrową oddechowi, każdy wsi mieszkaniec cenić umie.

Drzewa te stanowiły wybitną cechę wioski o której mowa i ztąd też może poszła jej nazwa: Brzezie. Już się słońce cokolwiek nad poziom uniosło, osuszając ciepłem tchnieniem obfite krople rosy, błyszczące na drobnych jeszcze źdźbłach, trawy gdy nagle uchyliły się ciężkie drzwi dworskie i rumiana twarz młodzieńcza za próg rzuciła ciekawe spojrzenie jasnych błękitnych oczu, ciemną przysłonionych rzęsą. Na widok zatoczonego wozu wychyliła się postać dorodnego chłopaka, w lekkim, jasnym kaftanie. z odkrytą szyją i ciemnym włosem puszczonym po ramionach; jednym skokiem przesadził szeroką u progu przyźbę, skoczył do wozu, rękami i nogami wypróbował głębokości pokładu siana i równie szybko powrócił. zkąd przybył, nie zamykając szczelnie drzwi za sobą.

Za tem pierwszem zjawiskiem poszły następne; niezadługo wyszedł przed dom poważny średnich lat mężczyzna; niezbyt długa ale fałdzista ciemnej barwy szata opływała krzepką postawę, włos lekkim już przyproszony szronem, nietylko, że krótko był przycięty, lecz podgolony dokoła pozwalał widzieć silną szyję i dwie duże czerwone kresy, z których jedna od ciemienia na czoło spływała, druga zaś, od lewego ucha idąc, krzyżowała się z pierwszą na wierzchu głowy. Znać, że mąż ten w wojennej potrzebie umiał głowy nastawiać; spojrzenie jego bystre a surowe, ruchy zarazem szybkie i poważne, wskazywały wojaka, a przecież coś niezwykłego na pierwszy rzut oka jakiś duchowny charakter przywodziło myśli. Biała chustka, wązko otaczająca szyję i długiemi końcami spadająca na piersi, mimowoli przypominała księdza, chociaż żadna inna cecha nie uwydatniała człowieka tego stanu, w silnym, mężnym i stanowczym Pietraszu z Brzezia.

Wyszedłszy przed dom, spojrzał na wszystkie strony po blado błękitnem niebie zatrzymał wzrok, jakby chcąc zliczyć ciemniejsze obłoki, co się od północy gromadzić zaczynały, a potem, zwróciwszy twarz ku wschodowi, zdawał się inną zajmować rachubą. Patrzał na pługi, krające rolę, liczył je widać i wsprawdzał w myśli wydane wczoraj rozkazy swoje, porównywając je z odebranem o świcie sprawozdaniem włodarza, bo przysłonił ręką oczy, poglądając pod słońce; nakoniec, jakby zadowolony ze stanu rzeczy, kiwnął głową i do domu powrócił.

Teraz dopiero rozpoczął się ruch znaczny, objaśniający powód postawienia od poranku próżnego wozu przed dworem. Kilka starszych i młodych niewiast jedna po drugiej jęły wynosić króbki, zawiniątka, mniejsze i większe skrzynki, ustawiając je bacznie to w jednym, to w drugim końcu wozu i przekładając obficie sianem w ten sposób, że wybrane ze środka utworzyło z dwóch stron dość wyniosłe siedzenia. Jaśko z Brzezia, któregośmy najprzód we drzwiach domu widzieli, doglądał także owej roboty: zapytując co było w wiązkach, wskazywał właściwe im pomieszczenie, a gdy wszystko było ułożone, wyniósł wielką i miękką niedźwiedzią skórę, wskoczył z nią na wóz i nadkładając tu i owdzie siana na tylne siedzenie, ugładził je i starannie futrem obłożył, próbując, czy było miękkiem i wygodnem. Gdy ukończywszy swoje zadanie młodzieniec zniknął znowu za progiem, pachołek wyniósł ogromną łosiową skórę i z mniejszem staraniem zarzucił ją szeroko na sienny wał z przodu, widocznie przeznaczony na podwójne siedzenie bo z obu jego stron wybierał od dołu siano, ku wygodnemu nog

pomieszczeniu.

Skoro i to zostało dokonanem, wyskoczył raz jeszcze Jaśko, obciążony rozliczną tkaniną z pod której śmiały mu się błękitne oczy i starannie a z doborem wysłał nią ostatecznie wóz, prawdziwie teraz wymoszczony; siwe, ciemne i bure a grube sukna domowe usłały się pod nogi, wzorzyste ruskie i wschodnie kobierce rozłożyły się po głównem siedzeniu i chłopak ucieszony swoją robotą raz jeszcze ku domowi zawrócił oglądając się kilkakrotnie, tak mu znać całość do smaku przypadła.

Jeszcze raz wyszedł poważny Pietrasz, obszedł wóz do koła, obejrzał go u góry i u dołu i zadzwonił w mały róg zwieszony u przetykanego pasa, który teraz boki mu obciskał. W niedługą chwilę z pośrodka białej gromadki brzóz ukazał się człowiek, prosto ale dostatnio odziany, prowadząc parę tęgich a krępych koni w zupełnej uprzęży, które pod okiem pana i jego wskazaniem do wozu założywszy, czekał na dalsze rozkazy. Pietrasz zadął po dwa razy w swój rożek i wnet dwóch chłopaków z tej samej brzezinki wywiodło dwóch wierzchowców, krótko je za uzdę trzymając, bo mierzynki po dobrem znać śniadaniu z fantazyą stawiały kopyta i pobrykiwaćby miały ochotę, gdyby im tego dopuszczono.

Pan domu zawrócił znów ku mieszkaniu, ale teraz drzwi na ścieżaj się otwarły i rojem wysypała się garstka kobiet i dziewcząt; każda coś niosła w ręku, a każda oglądała się za siebie, gdzie spokojnie i poważnie przestępowała próg podróżna, dla której dotąd tyle przygotowań czyniono.

Urodziwa, choć nie pierwszej już młodości Hanna z Brzezia, w dostatnie a miękkie przybrana szaty, prowadziła za rączkę czteroletnią Małgosię, równie ciepło otuloną; matka i córka w bobrowe kołpaczki pokryły czoła, i białe zasłony, przytwierdzone do nich, gotowe były chronić świeże i delikatne lica przed ostrym podmuchem wiosennego wietrzyku. Jak gdyby dokończając udzielonych w mieszkaniu napomnień, Hanna to tej, to owej z kobiet rzucała przyjazne, lub ostrzejsze: "pamiętajcie," one po kolei pochylały się jej do kolan, lub do ręki, w miarę wyższego lub podrzędniejszego swego stanowiska we dworze i odprowadzały ją do wozu.

Matys woźnica już się był usadowił, poprawił i ujął w kościste ręce rzemienne cugle, Pietrasz w obszernej na ramionach opończy i wydrzanym szłyku na głowie, podniósł na ręku Małgosię, która mu z uśmiechem drobne rączki na szyję zarzuciła i szedł pomagać żonie do wsiadania, ale już Jaśko upatrzywszy z boku leżący pieniek szeroki, zatoczył go przed koła i ostrożnie a wesoło podawał matce silne choć młode ramię, by się na niem wsparła wygodnie. Ojciec usadowił Dziecinę obok żony, otulił ją starannie, zarzucił jeszcze kilimek na nogi i wraz z synem zwrócił się do koni. Jeszcze Hanna zawołała parę razy na służebne, jeszcze ustawiono obok Matysa dzban starannie obwiązany, króbkę z doborowym jakimś prowiantem i biały kołacz w bielsze uwinięty płótno, potem jedna ze starszych służebnic, okryta szarą z niebieskim brzegiem płachtą, usiadła naprzeciw pani, plecami do Matysa zwrócona. Jaśko przystanął chwilkę przy ojcu, czekając, czyby go przy wsiadaniu na koń nie potrzebował, potem wpadł we drzwi domu zapchane jeszcze ciżbą domowników i wnet wyskoczył w krótkim kożuszku, skórzanym pasem ściśniętym, z siwym kołpaczkiem na ciemnych włosach, skoczył na swego konia, nie tykając strzemienia i ruszył się cały tabor.

Niech Bóg prowadzi! — wzniosły się głosy od dworu.

– Zostańcie z Bogiem! — odrzekli odjeżdżający.

I zakłębiło się na drodze, a gdy już z za brzeziny nic widać nie było, zatrzaśnięto drzwi domu, zaciągnięto drągi i nastała cisza, której aż do powrotu państwa nic już przerwać nie miało.

Z początku jechano w milczeniu, potem pan rzucił jakąś uwagę woźnicy, upomniał syna, by się zbytecznie naprzód nie pochylał, jakby się kwapił zajechać przed drugimi; pani pytała sługi o to i owo, poprawiała siedzenie dziecięcia, nasuwając jej na twarzyczkę zasłonę, którą dziewczę odrzucało natychmiast, rozglądając się ciekawie po drodze. Potem rozpoczęły się py-

tania, to o grube drzewa z czarnemi pniami, to o stojący między niemi wysoki dom, z drugim równie wysokim a cienkim na wierzchu, to o wielką wodę, co się jak pas złocisty skrzyła w promieniach słońca z daleka, i niezadługo na wozie zrobiło się tak wesoło, tak głośno srebrzysty śmiech dziecinny się rozlegał, że nietylko Jaśko, lecz i poważny ojciec zaglądał tam od czasu do czasu i czerwona twarz Matysa odwracała się od koni, by spojrzeć na dzieciątko i w uśmiechu wąsami potrząsnąć.

O południu zjechano na małą pod lasem polankę, koniom dano odetchnąć i pożywić się nieco, podróżni na zachętę gospodyni zajrzeli do obetkanego dzbana, by z niego słodkiego Piastów napoju pociągnąć, nie pogardzono kołaczem, ani kruchą łosią pieczęcią i w małą godzinkę znowu ochoczo puszczono się w drogę.

Jaskrawe promienie słońca, ogrzewające doskonale jadących wśród jego blasków, zaczęły blednąć po trochu a drzewa przydrożne coraz dłuższe cienie przeciągały po gościńcu, gdy Pietrasz, zawróciwszy ku wozowi, rzekł:

— Nie dojedziem bez dłuższego popasu; trzeba wstąpić do Brożycy.

Zaśmiała się twarz Hanny.

— Do Brożycy! do mojej Kachny!

— Do stryja i Stańka — dorzucił wesoło Jaśko.

— I do małej Marysi — rzekła Hanna do córeczki, która ochoczo w rączki klasnęła.

— Na prawo, Matys! — rozkazał ojciec.

I wnet w kierunku wskazanym zatętniały kopyta, a niezadługo na wzgórzu ukazał się dwór bardzo podobny do tego, który rankiem opuścili, bo wówczas, lubo w budowie domów bożych, w ich wielkości, wysokości a nawet i kształcie, pomysł budowniczego wprowadzał niejaką rozmaitość, ludzie w mieszkaniach swoich tylko bezpieczeństwa i wygody a rzadko pragnęli odmiany.

Z nie małym rozgłosem cztery konie i cztery grube koła wtoczyły się po kamienistej drodze przed dwór Brożycki, a przecież już odsapnęły rumaki, już się jeźdźcy zsiadać zabierali, gdy jeszcze gościnne zwykle drzwi tego domu stały jak gwoździami zabite. Po chwili dopiero z za węgła ukazała się twarz niewiasty, widać znajomej, bo szybko z pokłonem podbiegła do wozu, mówiąc żałośnie:

— Nie ma państwa! oto psota! rankiem pojechali.

— Gdzie tak, wszyscy? — pytała Hanna.

— A wszyscy! może do Krakowa.

— To się spotkamy — mówili do siebie podróżni, poglądając jednak na drzwi zaparte.

— Dwór dokoła zamknięty — mówiła sługa — bo pono aż po świętach powrócą, ale jeżeliby spocząć wypadało, jest w przystawce ciepła izba kobieca...

— Nie, nie; odpoczniemy przed domem, byle woda była dla koni — rzekł pan z Brzezia.

Ale Hanna poglądała na dziecię, któremu przymykały się znużone oczęta i gotowa była przyjąć zaproszenie służebnej.

Pietrasz zrozumiał spojrzenie żony, opuszczono więc wóz i najprzód pani, a później i panowie znaleźli się w izbie żeńskiej czeladzi.

Goście zastali w niej ośm młodszych i starszych służebnic rozmaicie zajętych; w najwidniejszem miejscu stało dwoje krosien, a przy każdem rumiana i młoda kobieta przesuwała szare nici z pomocą małej dziewczynki, co siedząc u nóg pracownicy pomagała jej unosić przyrząd, przemieniający zwolna starannie naciągnięty wątek. W kominie płonęło żywo ognisko ostawione glinianemi garnkami, których średnich lat niewiasta doglądała starannie. W ciepłych kącikach komina dwie staruszki czynnie obracały grubo już przędzą owinięte wrzeciona, puszczając je po ziemi i napowrót chwytając zręcznie; znać były to biegłe prządki, a resztki lnu, jeszcze u przęślicy wiszące, wskazywały, że praca ich miała się ku końcowi. Na osobnym stołeczku siedziała z króbką na kolanach młoda dziewczynka i coś pilnie przebierała; czy przez niezręczność skaleczyła się przy robocie, czy też z innej przyczyny, palce jej były mocno zaczerwienione.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

JASKINIA BEATUSA.

POWIEŚĆ

— DLA —

WSZYSTKICH SZLACHETNIE MYŚLĄCYCH.

(Ciąg dalszy.)

"A jakżebym się ja cieszyła," rzekła Teodora, "gdybym i gdzieindziej tak dobrych ludzi znalazła jak tutaj. Wkrótce pożegnam tę dolinę, któż wie, gdzie mi się jeszcze tułać przyjdzie; z łzami w oczach powędruję dalej. Ach, jakże gorzkiem będzie nasze rozstanie! Tu mi się bowiem zdawało, jakby żyła w własnej swojej dziedzinie." — "Więc Pani nie masz żadnego celu przy swojej podróży?" zapytał Beatus. "Ach!" odpowiedziała Teodora, płacząc, "ach, dziś nie wiem, gdzie się jutro tułać będę a jutro znowu nie będę wiedziała dokąd się udać." "A co?" rzekł Beatus: "życzyłabyś sobie Pani i nadal w tej dolinie pozostać?" "Nigdzie," odrzekła Teodora "nie byłoby mi tak dobrze, jak tu między wami. Jest to najgorętszem mem życzeniem, abym tu spokojnie żyć mogła. Chętniebym tu z ludźmi chciała pracować, z nimi wszystko dobre i złe podzielać, dopókiby Bóg inaczej nie zechciał. Lecz, dobry staruszku, jakże się tu me chęci spełnić mogą? Wszakżem jest biedną kobietą. Tutejsi mieszkańcy tyle mi już dobrego wyświadczyli, iżby niewdzięcznie było z mojej strony, gdybym jeszcze więcej żądała."

"To ja na siebie biorę," rzekł Beatus i wstał z stołka; a wziąwszy gospodarza domu cokolwiek na stronę, rozmawiał coś z nim poufale. Potem powrócił z uśmiechem. Gospodarz zaś pospieszywszy na łąkę, zwołał ludzi naokoło siebie. Wszyscy byli ciekawi, coby im chciał powiedzieć. Gdy się już wszystko uciszyło, zaczął jak następuje: "Kochani sąsiedzi, o ile nam Bóg w tem roku błogosławił, dowodzi radość dzisiejszego święta. Nikt w całej dolinie nie może powiedzieć: "Jestem bez zakątka, bez chleba, prowadzę życie pełne kłopotów. Lecz ta pani, którą właśnie płaczącą widzicie, ach, ona jest bez zakątka, bez chleba, prowadzi życie najopłakańsze. Gdyby teraz naszą dolinę opuściła, już dzisiaj w nocy musiałaby bez przytułku spać pod gołem niebem. A zjadłszy chleb, któryśmy jej na drogę dali, musiałaby znowu głód mrzeć. Pan zaś najwyższy mówi: "Bądźcie miłosierni a dopomagajcie swym bliźnim nieszczęśliwym. I dla tego nam też pobłogosławił, dla tego też nam przysłał w tę dolinę matkę biedną z biednem dziewczęciem. My wszyscy, wszak prawda, szczerze się dziś cieszyliśmy, uboga tylko ta Pani nie mogła się wcale zupełnie rozweselić. Myśl o blizkiem pożegnaniu a przyszłość najsmutniejsza musiała koniecznie jej radość przytłumiać; lecz wy byście jej na zawsze ulgę przynieść mogli. Posłuchajcie tylko co wam powiem. Mówię ja z natchnienia a więc uważajcie z pilnością. Wszyscy, którzy tylko w tej dolinie mieszkacie, weźcie się wspólnie do roboty i wystawcie jej chatkę. Wiele rąk wiele zrobi. Wnetby więc stanął domek. Co? chcecież tak?"

"Chcemy, chcemy!" wykrzyknęli wszyscy z radością. "Chcemy z największą ochotą. Zaraz jutro, skoro świtać zacznie, weźmiem się do dzieła." Potem dodał Lejthold: "Przy moim domu ma jej chatka stojeć. A czego do budowy będzie trzeba, wszystkiego dostarczę."

"Bóg wam więc dopomóż!" rzekł Beatus, "i niech to jeszcze waszym dzieciom nagrodzi, co dla tej niewiasty czynicie." — Rada bogomyślnego ojca nadała takim sposobem świętu jak najweselszą postać. Każdy się cieszył ku końcowi z serdeczną radością. Jeszcze nigdy, mówili starzy, nie zakończyliśmy Elpersundu tak dobrem posta-

nowieniem, jak dzisiaj. Lecz nigdy też zapewno nie stał się Bogu tak miłym, jak tą razą."

Mężatki i dziewczęta przystąpiwszy uprzejmie do Teodory, powitały ją jako nową swą sąsiadkę w dolinie. Chłopcy zaś tłocząc się około Otona, ubiegali się o przyjaźń nowego towarzysza, a mężowie i młodzieńcy naradzali się z gospodarzem względem wybudowania domku i mierzyli potem miejsce, na którem miał być postawiony.

Wszystko to ucieszyło tak Teodorę, że nie wiedziała, co się w sercu jej działo. Tak wielkich dobrodziejstw nigdy się spodziewać nie ważyła. Chcąc swoje uczucia osobliwie dla świętego pustelnika wyrazić, nie mogła się wcale zdobyć na słowa, któreby godnie jej wdzięczność wyraziły. Wreszcie zalała się łzami a to jej język rozwiązało. Trzymając Otona za rękę, chodziła od jednego do drugiego i dając każdemu z osobna rękę, rzekła: "Tam nad gwiazdami tronuje istota, która za to nagrodzi; ja bowiem tego nie mogę. Lecz modlić się będę z głębi serca, aby wam Bóg zawsze błogosławił." — I to ów dzień radosny zakończyło. Tą razą rozeszli się wszyscy prędzej jak zwykle przy podobnych okolicznościach, aby jutro tem pewniej, skoro dzień zaświta, chatę zaczynać.

Nim domek zbudowano, mieszkała Teodora u Lejtholda, który to ją wraz z żoną swoją zaraz na początku tak mile był przyjął. Była ona im pomocną, gdy tylko mogła. Przy każdej zaś robocie taką umiejętność pokazywała, że się aż wszyscy dziwowali. A Oton stał się wkrótce prawdziwym synem gospodarza. Bo się też chłopiec tak czule do niego unižać potrafił i robił wszystko tak pilnie i tak chętnie, że go wszyscy rodzice w dolinie swym dzieciom na wzór brać kazali.

Jeszcze się jesień nie skończyła, gdy już chata stojała, wysuszona i zdrowa, ze wszystkiem, co tylko było dla dwóch osób potrzebnem. Dzień, którego Teodora do domku wciągała, był dla wszystkich mieszkańców doliny dniem uroczystym. Starzy i młodzi zebrali się, aby ją do nowego jej pomieszkania doprowadzić. A przynieśli chleba, mleka, masła i sera, winnicarze zaś wielką obfitość winogron, jabłek, gruszek i wina. Myśliwcy opatrzyli ją w dziczyznę i futra. Giertruda dostarczyła naczyń. które tylko w spiżarni i w kuchni są najpotrzebniejsze. Stoły i stołki w jej izbie były własną ręką Lejtholda zrobione. Rózia wreszcie przysposobiła bieliznę i pościel.

O tem wszystkiem nie wiedziała Teodora ani słowa. Gdy więc otoczona wieśniakami, weszła do swej izby i wszystko tak ślicznie urządzone spostrzegła i do tego jeszcze tyle podarków, wtedy wpadła w obliczu wszystkich przytomnych na kolana. "Panie!" wyjąkała łkając wśród łez strumieni. "Panie nieba i ziemi, jakżeś łaskawy dla mnie sieroty! Jakże się mną opiekujesz za pośrednictwem niezmiernej miłości dobrych tych ludzi. O gdybym cały świat upewnić mogła, wołając: "Ufajcie Panu a on nie opuści was." Poczem podniósłszy się, przypatrywała się z radością tak mnogim podarkom A gdy wraz z Otonem, obok niej z radości skaczącym tak czule, tak szczerze dziękować zaczęła, nikt się nie wstrzymał od płaczu.

Ojciec Beatus wziąwszy ją za rękę, rzekł: "Teraz, dobra Pani, proszę sobie u nas podobać, jako też, abyś Pani o wszystkich dolegliwościach dotąd poniesionych zapomnieć mogła. A do wieśniaków się zwracajac, rzekł: "Szanujcie i kochajcie tę dobrą Panią; od niej wiele się nauczyć możecie!"

Teodora przyzwyczaiła się do nowego mieszkania niezadługo. W cichej samotności upływały jej dni nieznacznie. Czasem nawet cieszyła ją nie jedna miła okoliczność. Wszyscy byli dla niej z jak największą uprzejmością. Już teraz cieszono się, iż za rok, kiedy znowu Elpersund nadejdzie, kiedy i jej chatę będzie można obsadzić zieloną jedliną i upięknić kwiatami i bluszczem. Już teraz wystawiano sobie w duchu wielką tę radość, kiedy będą obchodzić przyjście obcej pani do doliny.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Życie spokojne Teodory.

Jesień przeminęła a z wysokich gór szwajcarskich spuściła się zima i w zacisza doliny. Jak daleko tylko z chaty Teodory dojrzeć było można, leżały śniegi i wszystko miało postać smutną i jednostajną. Drogi i dróżki tak były śniegiem zawiane, że ledwie kilka chat najbliższych w związku z sobą stało. Lubo uboga chatka Teodory blisko domu Lejtholda stojała, przecię się musiał do niej kopać codziennie.

Takim sposobem nie mogli się mieszkańcy doliny długi czas odwiedzać. I ojciec Beatus musiał ciągle w samotności zostawać. Dzwonek tylko co poranek i co wieczór z nad skały dźwięczący zsyłał w dolinę radosne uwiadomienie, iż bogomyślny pustelnik jeszcze żyje i przy zdrowiu zostaje.

Jednakowoż umiała Teodora i smutne dni zimy sobie uprzyjemnić. Nim jeszcze zima nadeszła, przysposobiła sobie wszystkiego co tylko jest do kobiecych robótek potrzebnem. Gdy już w małem swem gospodarstwie nic więcej do czynienia nie miała, wzięła się do dziania pończoch, do szycia, haftowania lub do wrzeciona. Myślała bowiem w duchu: "Na wiosnę sprzedam moje robótki w pobliskich miastach, a co zbiorę, za to mogę znowu kupić chleba dla siebie i dla mego Otulka.'

Najmilej upływały jej godziny, gdy swego Otona uczyła lub w niego zbawienne przestrogi wpajała, życząc sobie, aby z niego dobry, bogobojny i rozsądny wyrósł młodzieniec. Nawet wśród roboty nie omieszkała w nim zaszczepiać uczuć najszlachetniejszych, które czasem rosnąć i kwitnąć, wreszcie kosztowny owoc wydać miały. Gdy nastąpiły długie zimowe wieczory, uczyła go grać na mandolinie, do czego zawsze wielką miał ochotę, tak, że na początku lata już dosyć dobrze grać umiał. Przytem uczył się od niej nabożnych pieśni, jako to: o Boskiej wszechmocy, o nieskończonej Boskiej miłości ku ludzkiemu rodzajowi, o stałem wytrwaniu w złej doli, o wiecznym żywocie i innych mnóstwo. I w pisaniu i czytaniu zrobił chłopiec wkrótce znaczne postępy. Będąc często przy uczeniu obecnym Lejthold, nie mógł się dosyć wydziwować. A Giertruda mawiała na pół ze śmiechem: "Może być, że Oton w naszej dolinie jeszcze sołtysem będzie. Wszak czyta jak najpiękniej daleko płynniej, jak nasi alpejscy śpiewacy którzy ledwo kilka pieśni czytać umieją. Pisać potrafi także, jakby jaki uczony. A prócz tego posiada muzykę."

Wolny czas przepędzał Oton na pleceniu koszyków. Robił także klatki. Nauczył on się tej sztuki od Lejtholda, który się w zimie, gdy trzoda w domu stojeć musiała, także nią zatrudniał. Swoje koszyki chciał Oton na wiosnę sprzedać w pobliskich wioskach. Klatki zaś zostawił dla siebie. Myśliwcy mu bowiem przyobiecali, iż go z sobą w góry wezmą, gdy na sokoły polować będą. Chcieli mu pokazać, jak się tych ptaków do łowów używa i jak się je dzielnie przyuczyć można. Ztąd się chłopiec wiosny nie mógł doczekać. — Wreszcie stopniały śniegi a tu i owdzie pokazał się kawałek murawy, z której nie jeden pierwiosnek i inny marcowy kwiatek wyglądał. To też dla wszystkich było wielką radością. Wszak można się było wreszcie znowu odwiedzać. Każdy witał się z swoim znajomym, jakby ich morze było przedzielało.

W trzecie święto zielonych świątek opuścił i ojciec Beatus swą skałę i zawitał w chatce Teodory, aby się dowiedzieć, jak zimę przepędziła. Tą razą prowadził z sobą przewoźnika Klausa, którego wszędzie jako poczciwego młodzieńca przedstawiał. Klaus pozdrowił wszystkich, jakby ich już znał od dawna. Szlachetnej Pani i gospodarstwu przyniósł kilka fijołków, które jako pierwiastki tegoż roku przy górze był urwał. Rózi dostało się kilka fijołków. Uśmiechnęła się na to i zatknęła woniące te kwiatki za czerwony pasek swego fartuszka. Odtąd widziano Klausa częściej w dolinie. Przy żadnej wiejskiej zabawie nie brakowało go. Wtedy bawił prawie wszystkich niewinną swoją i przyjemną rozmową.

Gdy się już wiosna zupełnie roztworzyła, zaczęła się Teodora koło swego o-

gródka krzątać. Giertruda i Rózia pomagały jej w tem szczerze. Oton zaś drapał się z myśliwcami po wysokich górach i wybierał ze skał młode sokoły, których wkrótce bardzo dobrze wyuczył. Rozwoził po okolicznych wsiach i miastach swoje koszyki i robótki matczyne. Wyszedłszy rano z taczkami wracał aż na wieczór a przyniósł nieraz znaczną ilość pieniędzy, z czego się Teodora bardzo cieszyła. Razu zaś jednego powrócił zupełnie bez pieniędzy, chociaż prawie wszystkie kosze sprzedał. Lecz to się tak stało:

Spiesząc pewnego wieczora z powrotem i będąc słodką myślą zajęty, iż znowu na kilka dni troskom swej matki zaradzii, usłyszał wśród boru, przez który właśnie szedł z taczkami, jakieś jękliwe narzekanie; pochodziło ono z po za krzaków. Z początku zląkł się niewymownie; lecz wnet ochłonął ze strachu. Przyszło mu bowiem na myśl iż to mógł być głos wędrowca, którego jakie nieszczęście spotkało i który ludzkiej pomocy potrzebuje. "Zobaczę przynajmniej,' rzekł do siebie i pobiegł ku owej stronie, zkąd się owe jęki słyszeć dały: Pod sosną leżał człowiek, mogący mieć około lat dwadzieścia i sześć. Teraz właśnie przykładał sobie na nogi liście chłodzące i płakał przy tem. "Cóż to wam, przyjacielu?" zapytał Oton z litością i kląknął przy nieznajomym' "O Boguż dzięki! że znowu widzę przed sobą człowieka," rzekł podróżny. "Myślałem już, że mi tu skonać przyjdzie. Cały dzień nie widziałem chleba ani kęsa, a tem mniej mogłem się posilić. Srogo mi głód dokuczał. Jednakowoż wędrowałem dalej, w tej nadziei, że przynajmniej na wieczór do jakiego gościńca zajdę; tymczasem pokaleczyłem sobie nogi; ach bolą mnie strasznie; ani kroku nie mogę postąpić. Nie wiem sobie już żadnej rady. Na myśl, że mi tu w tym okropnym boru nocować przyjdzie, zacząłem na głos płakać. O dobry chłopcze! pomóż mi, jeżeli to w twojej mocy."

"Bogu dzięki, że ci pomódz mogę," rzekł Oton, dobył chleba z kieszeni, który przy sprzedawaniu koszy jako przydatek dostał. "Jestem wprawdzie sam biedny, lecz widzę, żeście wy jeszcze biedniejsi odemnie. Macie więc, jedzcie; ja tymczasem opatrzę wam rany." To rzekłszy podniósł się, poszukał zioła chłodzącego, przyłożył je na wątłe miejsca i zawiązał nogę chusteczką. Podróżny zaś patrzał z zadziwieniem. Nigdy sobie nie wyobrażał, żeby tak dobrzy ludzie na świecie być mogli. Oton zdawał mu się być aniołem. Chciał chłopca w rękę pocałować; lecz tenże nie dopuścił tego. Cieszył on się już dosyć, widząc, że nieznajomy już więcej nie płacze. Ale jakże można go tu z miejsca ruszyć? Jakże on się na nocleg ma dostać? Ta myśl wprowadziła Otona w zadumanie. Z początku nie widział wcale, jakby sobie poradzić. Lecz wkrótce wykrzyknął z radością: "Dobrze tak! o bardzo wybornie!" Tu poszedł po taczki, które zostawił na drodze. A że wędrowny odgadł jego zamiar, zawołał: "Daj pokój, daj pokój! To nie podobna! Toby ci za ciężko było!" ' Bądźmy tylko cicho!" rzekł Oton. Za pół godziny staniemy w pobliskiej wiosce. A aż tamdotąd!" I nie skończywszy, zabrał wszystkie swe siły i dopomógł wędrownemu na taczkę. Przytem postępował sobie z jak największą ostrożnością, aby go tylko w nogi nie uraził.

Z początku taczkowało się dosyć dobrze; później zaś musiał Oton ze sto razy odpoczywać. Wreszcie stanęli we wsi. Oton zatrzymał się przed najpierwszą chatą, należącą do dobrodusznego wieśniaka, którego prosił o przytułek dla wędrownika i to na tak długo, ażeby sobie tenże nogi wyleczył zupełnie. Będąc wysłuchanym, wprowadził chorego do izby; a żegnając się z nim, wetknął mu jeszcze te kilka groszy, które tegoż dnia dostał był za kosze. Nim zadziwiony podróżny podziękować zdołał, był Oton już za progiem i dążył co tchu, aby jeszcze przed nocą stanąć u matki

Gdy się już na łące Lejtholda znajdował, widząc się już blisko domku, zrobiło mu się smutno koło seraa, gdyż nie miał dla drogiej swej matki ani chleba ani pieniędzy. A gdy mu matka naprzeciwko wyszła i z uśmiechem go zapytała: "Jakże kochany synu! nieszeszże znowu co dla nas?" wtedy zaczął na głos płakać. "Dla Boga! czegoż to płaczesz? Cóż ci się stało? powiadaj!" rzecze przelękniona matka z troskli-

wością. Tu opowiedział Oton całe zdarzenie z podróżnym. Tymczasem wylewała matka łzy radości. Uściskawszy go potem, rzekła: "Dobrze zrobiłeś, mój Otulku! cieszy mnie to niewymownie. Bardziejbyś mnie nie uweselił, a chociażbyś mi przyniósł i tysiące klejnotów. Kilka groszy wędrownemu danych wynagrodzi ci stokrotnie. A choćby i to nie nastąpiło, wiesz dobrze, żeś dopomógł biednemu swemu współbratu, żeś wypełnił jednę z najpierwszych powinności. A prócz tej nagrody nie potrzeba innej sercu dobremu."

Tem słodkiem uczuciem nowej pociechy macierzyńskiej uradowana Teodora, nie mogła się wstrzymas od rozgłoszenia uczynku tak szlachetnego. Pobiegła więc do Łejtholda i opowiedziała mu i jego żonie wszystko, już naprzód wiedząc, iż się równie ucieszą z jej syna, jak ona sama. Od Lejtholdów dowiedzieli się o tem wkrótce i sąsiedzi. Wszyscy więc mówili: "Temu chłopcu będzie się kiedyś bardzo dobrze powodziło. Bóg bowiem sprawiedliwy nagradza dobre uczynki."

Wśród podobnych radości ubiegło lato, ubiegła i jesień, a rok mijał po roku. Pobyt szlachetnej Pani w dolinie był dla wszystkich tamtejszych mieszkańców wielką korzyścią. Uczyła bowiem dziewcząt wszystkiego, co tylko w gospodarstwie potrzebnem, i co się im tylko na przyszłość przydać mogło. Chłopcy zaś odnieśli przez obcowanie z Otonem wielki pożytek, nabyli bowiem ludzkości i przyzwoitych obyczajów. To błogosławieństwo nie uszło uwagi rodziców. Dla tego się też często napominali: "O nie obraźmyż tej dobrej Pani żadnem słowem, a tem mniej jakim niegodziwym uczynkiem aby tu u nas na zawsze została. A gdy ją Bóg do siebie weźmie, będziemy ją jeszcze mogli szanować, schodząc się często na jej mogiłę."

———

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

Miłosierne uczynki są słodką ulgą dla nieszczęśliwych.

Tymczasem, gdy Teodora z Otonem w szwajcarskiej owej dolinie wiodła życie samotne i ciche, cierpiał hrabia Waldbergen w ciemnem i dusznem więzieniu Felzenhejmu, gdzie go był rycerz Dytrych wtrącił. Było to na trzeciem piętrze w zamku. Jeden tylko mały otwór, w murze ogromnie grubym wykuty, wpuszczał tylko do więzienia światła co potrzeba było, aby hrabia wszelką okropność owego miejsca mógł poznać. Wszystkie ściany były czarne, wilgotne i mchem porosłe, a sklepienie tak niskie, że się w nim człowiek miernego wzrostu nie mógł wyprostować. W jednym kącie stojała ława i stół oba z kamienia. Na stole zaś stał dzbanek wody a przy nim leżał kawałe; chleba; był to pokarm hrabiego. W drugim kącie był rozpostarty snopek słomy, jako łożysko dla hrabiego. A u rąk i nóg brzęczały mu ciężkie kajdany. Policzki jego były blade i zapadłe, a oczy od płaczu wielkiego zaczerwieniałe. Przecie to wszystko mężnie znosił i cierpliwie. "Ach!" rzekł nieraz ze łkaniem, "cóż za męki więzienia w stosunku do mych wewnętrznych boleści nad stratą mej żony i mego syna? Chętniebym was nosił moje kajdany, gdybym tylko wiedział, czy owe istoty jeszcze są przy życiu, czy są wolne, czy są bezpieczne od prześladowań nieprzyjaciół, jakżebym chętnie przepędzał bezsenne moje noce, leżąc tu na tej przegniłej słomie, gdyby mi tylko kto powiedział: "Twoja żona i twój syn spoczywają na miękkiej pościeli." Jakżebyś mi był słodkim, gruby ty mój chlebie, gdybym miał wiadomość, iż Teodora jako też Oton głodu mrzeć nie potrzebują. Lecz że nic o nich nie wiem, ponoszę podwójne cierpienia. Dusza moja jest znękana a ciało moje osłabione i wywiędłe. Ach, cóż się to jeszcze ze mnie stanie! O gdyby mię tylko choć jedna pocieszyła osoba! Lecz cóż jest ludzka pociecha? Do Ciebie, do Ciebie! udam się dobrotliwy Boże. Tyś mię dotąd jeszcze z utrapienia wyprowadził ukończysz więc i tą razą moje cierpienie. Gdy sobie przypomnę wszystkie niebezpieczeństwa, wszystkie od samego dzieciństwa, gdy sobie przypomnę z jaką ojcowską miłością, jak mądrze mię zawsze strzegłeś i wiodłeś, kiedy się ożywia me serce a mocna ufność ku Twemu miłosier-

dziu unosi mię do Ciebie. Czuję z prawdziwem nabożeństwem, tak czuję, żeś mi i tu w więzieniu bliski, że i tu święci aniołowie nademną czuwają."

Podobnie modlił się klęcząc całe godziny. Szukał on w modlitwie pociechy i uspokojenia. — Czasem zdawało mu się, jakby żona jego z dziecięciem już dawno przeniosła się do kochanej, wiecznej ojczyzny. Wtedy sobie życzył z upragnieniem śmierci, aby nierozdzielnie był z nimi połączonym na wieki. Lecz inną razą ożywiła go pewna nadzieja, że jeszcze żyją i że się z niemi jeszcze zobaczy.

Co go zaz najbardziej bawiło, w samotności więzienia, był to ów krajobrazek zamku Waldbergen, który Teodora wyhaftowała, a który on z jej ręki otrzymał, przybywszy owej nocy z utarczki. Krajobrazek ten i łańcuch na turniejach uzyskany, nosił zawsze przy sobie. A żeby tych rzeczy dla niego tak drogich nikt nie dostrzegł, miał je ukryte we fałdach koletu. Tylko gdy był pewny, że nie było burgrabiego w bliskości, wtedy tylko wyjął owe klejnoty swoje i oglądał je przy świetle, małym otworem do więzienia wpadającem. "Droga Teodoro!" mówił nieraz a łzy mu się lały po wybladłych licach, "nigdyś nie myślała, haftując ten obrazek, aby się ze mną do więzienia dostał i tu mi moje cierpienia zmniejszał. Jakże wiernie są te wysokie wieże oddane! Tu ogród zamkowy, tam dziedziniec, na który nie jednej nocy wśród lata, kiedy pięknie było, z żoną i synem stałem, podziwiając wszechmocność nieskończonego, niepojętego Stwórcy. Jest i tu altana. O jakże mi było błogo, gdym w niej wreszcie, po długiej, przykrej zimie mógł przepędzić najpierwsze chwile wiosny. — A tu znowa są okna pokoju. Ach, ciche domowe radości, któremi się, siedząc przy kominku, tak często napawałem, gdzieżeście się podziały?" — Tak sobie często urzewniał, gdy go na smutne wspomnienie, tęsknota i boleść do najgłębszego przejęły. Łzy obfite ulżyły wreszcie skrępowanemu jego sercu. Oparłszy głowę o mur wilgotny, płakał nieraz całą noc. Powoli zmieniła się boleść w niepohamowaną tęsknotę z swobodą. Czasem siedział cały dzień przy kracie żelaznej i wyglądał otworem na dwór. Patrząc tak na piękności przyrodzenia, zaczął płakać. Skoro się przed otworem jaki ptaszek przewiknął, śledził go oczami, aż mu wreszcie znikł. "O gdybym ja miał twe skrzydła, szczęśliwe stworzenie!" westchnął sobie: "Wolnyś, ptaszku! Cała ogromna kraina między ziemią a ślicznem niebem służy ci do hulania." A widząc, jak na Renie od brzegu z tej strony statek odjeżdżał i potem się mile kołysząc mimo krzaków płynął, wtedy wyciągnął otworem mimowolnie swe ręce i wołał z płaczem co tylko miał siły: "Poczekaj, poczekaj statku! statku kochany, poczekaj! O weź mię z sobą; zawieź mię na tamtę stronę! Co? nie słyszysz mej prośby! Ha! nie chcesz mię słyszeć. Więc płyń! A kiedy znowu wrócisz, przywieź mi śmierć z sobą!" Długo jeszcze patrzał za statkiem, aż ten coraz bardziej zmniejszając, znikł wreszcie przed jego oczyma.

W tym opłakanym stanie przejęczał dwa lata. Wtedy zesłał mu Bóg litościwy słodką ulgę dla jego cierpienia. Pobyt jego w więzieniu stał się znośniejszym. Matylda bowiem i Agnieszka zajęły się bardzo jego losem, skoro się od burgrabiny o imieniu więźnia dowiedziały. Dawnoby się już za nim u rycerza wstawiły, lecz bały się go niezmiernie, gdyż był srodze zapalczywym. Będąc tylko same z sobą łzy gorzkie wylewały i życzyły sobie sposobności jak najrychlejszej przy którejby mogły poznać hrabiego. Długo musiały na to czekać. Usłyszawszy wreszcie, iż burgrabia więźnia doglądał, powzięły niejaką nadzieję. A gdy Dytrych znowu na długi czas odjechał, kazała Matylda przywołać burgrabiego i rzekła: "Wiem, mój burgrabio! żeś litościwym człowiekiem, że cię niezasłużone cierpienie twych współbraci bardzo obchodzi. To mi się też szczególnie podoba. Nagrodzę ja ci też kiedy za to. — Dowiedziałam się, że hrabia Waldbergen twojej pieczy oddany i że go mąż od czasu uwięzienia jeszcze nie odwiedził. Ta okoliczność uspokoiła mię zupełnie." W ciągu tych słów zapłonął się burgrabia i stał zatrwożony, jakby się czego wstydził. Hrabina zaś, niby nie uważając na zmieszanie jego, mówiła dalej: "Dy-

szałam o hrabiu Waldbergen tyle pięknych, tyle szlachetnych rzeczy, że aż mię ochota bierze, abym go w jego więzieniu odwiedziła. Zaprowadzisz mię więc do niego, burgrabio, nie prawdaż?" Na to pokręcił burgrabia parę razy głową, tak że można było odgadnąć, iż coś miał naprzeciw temu, czego się przecie obawiał powiedzieć. "Wielmożna Pani," przemówił wreszcie. "Wiem ja," przerwała mu Matylda, "co mi chcesz powiedzieć. Boisz się mego męża, nieprawdaż? Lecz bądź spokojny. Gdyby się rycerz Dytrych o tem miał dowiedzieć, złóż tylko wszystką winę na mnie." Na to skłonił się burgrabia głęboko; potem rzekł: "Jeżlić się tak Wielmożnej Pani podoba, jestem do tego gotowy. Proszę więc Wielmożnej Pani potrudzić się za mną." To mówiąc, wyszedł z pokoju, a za nim Matylda i Agnieszka, a biegli ciemnym, odległym gankiem, do którego się przez dwa ciasne schody dostali. Na końcu ganku znajdowały się małe żelazne drzwiczki. Tu stanął burgrabia, mówiąc: "Te drzwi prowadzą do hrabiego." A chcąc zamek otworzyć, dodał: "Słyszysz Wielmożna Pani? to jego głos! Słuchajmy tylko!" Zakazawszy mu Matylda, aby kluczami nie brząkał, usłyszała te nabożne słowa. "O Boże, jeżliś przeznaczył, iż tu w okropnem tem więzieniu moje mam zakończyć życie, oto zmniejsz mi przynajmniej moje utrapienie względem najdroższych mi osób: Lecz niech się stanie wola Twoja!" Wtem weszła do więzienia Matylda a za nią Agnieszka. Niespodziewane te odwiedziny zadziwiły hrabiego. Lecz Matylda skłoniwszy się z łzami w oczach rzekła: "Bądź dobrej myśli, szlachetny mężu! Bóg zasmuci, Bóg pocieszy. Ja wraz moją córką Agnieszką, litujemy się nad wami jak najszczerzej. O gdyby i mąż mój czuł podobnież! Tyleśmy już dobrego o hrabiach Waldbergen słyszeli, żem już dawno postanowiłam zapoznać się z wami. Usiądziemy więc tu na chwilę, a wy, hrabio opowiedzcie nam smutne swoje przypadki. Mamy w tem udział nie mały." Uradowało to hrabiego tak, że zawołał: "Jakże dziękuję, Boże, iżeś tu do mnie ludzi tak litościwych sprowadził. Ach wszędzie masz dobrych ludzi, nawet i tu na zamku Felzenhejm. Poczem zaczął swą historyę, i to z takiem użalaniem, z taką serdecznością że Matylda i Agnieszka, będąc litością przejęte, ciągle płakały. Tymczasem stał burgrabia przy drzwiach i udawał, jakoby i jego litość także tknęła. Poprowadziwszy wzrokiem po sklepieniu, Matylda, rzekła: "Tą razą, burgrabio, bardzom się w tobie omyliła. Przypatrz się tylko; jestże to miejsce dla hrabiego Waldbergen? Godziż się to tak dla niego? Odtąd mi inaczej być musi. Przyślesz jutro do mnie swą żonę. Ma ona nam ciemne to sklepienie w przyjemny pokój przemienić. Ja jej nawet sama pomogę." Tu pożegnała hrabiego, ciesząc go temi słowy. "Wytrwajcie tylko w cierpliwości, mając ciągle w Bogu nadzieję. Może być, iż wkrótce ześle sposobność dogodną, iż na wolność wyjdziecie; i wasze dobra może wam się nazad dostaną. Błagajmy zaś o to Najwyższego, błagajmy dniem i nocą, aby was pocieszył."

Niezadługo zamieniło się posępne więzienie w pokój dość przyjemny, krata żelazna została w otworu wyjęta; przeto wpadało odtąd tyle światła do sklepienia świeżo wybielonego, iż w nim zupełnie widno było. Ciężkie kajdany nie brząkały już na członkach hrabiego. Gdzie przedtem twardy kamień leżał, stał teraz zgrabny stolik i ławka, oba z orzeszyny. Hrabia dostawał odtąd dobre jedzenie i trzy razy na dzień po szklannicy starego, reńskiego wina, i nowy ubiór podług stanu rycerza, kazała Matylda dla niego zrobić. Było to wszystko potajemnie. Agnieszka wymiatała więzienie dwa razy na tydzień, poczem kładła kobierce na posadzkę. Przypatrując się temu burgrabia, potrząsł głową i rzekł do swej żony: "Wszystko to dobrze, gdyby nam tylko rycerz figla nie zrobił. Gdyby kiedy hrabiego odwiedził, oszalałby ze złości, a nie wiem, coby się z nami stało." Ale burgrabina odpowiedziała mu na to: "Oho! nie przyjdzie on tu nigdy. Wyrzuty sumienia każą mu stronić tego niewinnego męża, jak piekielnych płomieni. A choćby się też kiedy przecię na to ośmielił, wiesz o bliskiej kryjówce w skale wykutej. Tambyś wtedy mógł więźnia na krótki czas wsadzić. Tak zastałby hrabiego w nędzy na okropnem miejscu."

———

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

Młody Sokolarz.

Po kilku latach zmieniło się cokolwiek w domu Lejtholda. Już opuściła Rózia progi rodzicielskie. Przy okoliczności jednego z Elpersundów obchodzono jej wesele. Poszła ona za przewoźnika Klausa. Żyli z sobą w zgodzie najserdeczniej, a Bóg błogosławił małe ich gospodarstwo. Dał im też Bóg w krótkim czasie parę prześlicznych milutkich dziatek, które ich tysiączną napawały uciechą. Musiała z niemi Rózia przynajmniej raz w tydzień za jezioro jechać, gdyż się dziaduś i babunia przecudnem ich twarzyczkom dosyć napatrzyć nie mogli

Tymczasem w chatce Teodory nic się nie zdarzyło, coby było uwagi godne. Życie szlachetnej pani było rzeczywiście cichą samotnością. Największą radość sprawiało jej zdrowie i dobre prowadzenie się syna. Nieraz uśmiechała się potajemnie, uważając go z daleka, jak pełen siły z wszelką usilnością pracował. "Gdyby tu Henryk był obecnym, jakżeby się też z swego syna cieszył" Ta myśl rozczuliła ją do łez. Tak więc płakała nieraz wśród swoich rozkoszy. Spostrzegłszy to syn kochający, zaraz przystąpił do matki, mówiąc: "Droga, najlepsza matko! czyż się na mnie za co gniewasz? Byłżem ci w czem niepowolnym? Wszak płaczesz, ile razy na mnie spojrzysz. O powiedz swemu synowi, w czem zbłądził, a zaraz się poprawi." "Nie dla tegoć ja płaczę," odrzekła Teodora przyciskając go do serca. Tyś mi jest zawsze wdzięcznym, posłusznym synem; Bóg cię też błogosławić będzie, że się starasz być pociechą dla matki swojej. Teraz, gdyś tak pięknie urosł, gdyś tak obyczajny, czuję wielką stratę mojego męża a twego ojca daleko bardziej, niż pierwej, gdyż z nim nie mogę podzielać ani jednej radości z dobrych twych postępków; dla tego to ja się tak czasem smucę. A przecię szepce mi często coś w sercu, że jeszcze żyje, i że go jeszcze raz w życiu zobaczę. O gdyby mi kto mógł powiedzieć, gdzie go rycerz Dytrych ukrył, natychmiast pobiegłabym tam, z widocznem nawet życia niebezpieczeństwem. Padłabym do nóg barbarzyńcy i starałabym się mu twarde jego zmiękczyć serce, aby mi męża uwolnić raczył. Gdyby na to nie przystał, prosiłabym go aby mi dozwolił razem z nim cierpieć w więzieniu."

Takie były słowa Teodory, a w sercu młodzieńca powstała po raz pierwszy myśl aby opuścić dolinę. Chciał po świecie wędrować, ażby na jaki ślad po swoim ojcu natrafił. Z tą myślą udał się na spoczynek i z tąż myślą wstał nazajutrz. Nawet wśród nocy śniło mu się o tem. Chodził często całe godziny zamyślony, lub siedział pod znaną nam już lipą.

Skończył wreszcie rok piętnasty. Był już wtedy pięknym, przystojnym młodzieńcem. Każdy kto go tylko widział, wychwalał jego piękny wzrost i siłę Nikt mu w dolinie pod tym względem nie równał. Do wszystkiego można go było użyć. Drapał się na skały wyżej od każdego myśliwca. Wyśledził każde gniazdo sokole, choć było na skale najniedostępniejszej, i wkrótce był jego panem. A jak się odznaczał w drapaniu na skały, tak go też i w ręcznej robocie nikt nie potrafił zawstydzić. Umiał obrzynać winne latorośle, jako też pługiem orać w polu. Pasał nawet przez niejeden tydzień krowy po górach. Jednem słowem, wydoskonalił się w wiejskiej robocie tak dalece że wszędzie podziwiano jego biegłość i zgrabność.

Powróciwszy pewnego wieczora w lecie od roboty, przystąpił do matki, która właśnie w ogródku kwiatki polewała i rzekł: "Pójdź ze mną, moja matko, do altanki; tam sobie usiądziem; powiem ci też, co za zamiar powziąłem; potem chcę cię prosić, abyś mi go pozwoliła wykonać." Uśmiechnąwszy się matka z pewnym wyrazem ciekawości, usiadła obok niego w altanie; poczem rzekł Oton: "Wiesz, droga matko, ileśmy razy o ojcu mówili, i żeśmy zimą długie wieczory, o nim tylko mówiąc, przepędzali. Przypominasz sobie zapewno jakeśmy wtedy płacząc z upragnieniem sobie życzyli, aby wśród nas się znajdował. Często nawet wzmiankowałaś, że jeszcze nie umarł. Boleść i przestrach opanowały cię owej okropnej nocy tak srogo żeś go już nigdy ujrzeć nie myślała. Ale nie masz żadnej pe-

wności, czy żyje czy nie żyje. Może być, że go drapieżny ów rycerz do niewoli wziął, a potem do więzienia wtrącił. Tam może jęczy mój ojciec i wzdycha napróżno o pomoc To i temu podobne nieraz wspominałaś. Niedawno jeszcze miałaś cudne przeczucie, że jeszcze żyje. Co zaś do mnie, jestem przejęty tęsknosą za ojcem tak smętliwą, że dla tego już wiele, bardzo wiele łez, tylko ukradkiem wylałem. Teraz wreszcie postanowiłem pobiedz we świat z moimi sokołami. Chcąc je sprzedać, wszędzie będę miał przystęp. Tak zwiedzę wszystkie zamki. Może być, że się gdzie o jego życiu i pobycie dowiem."

Tu zamilkł Oton. Patrzał tylko matce w oczy oczekując odpowiedzi. Ona zaś przysunąwszy go do łona, niby się obawiając, aby go tak wcześnie nie utraciła, rzekła z płaczem: "Ty mój Otulku! tybyś mię mógł opuścić? Cóż ja sobie poczunę, gdy ty w świat pójdziesz? Tyś tylko jeszcze był jedyną moją nadzieją Długo, bardzo długo dokuczał mi kłopot, dokuczała mi nędza, niżeś mi podrósł. Teraz, gdy już każdą dolegliwość z taką dziecinną miłością, z tak czułem uczuciem podzielać możesz, mamże teraz znowu cierpieć? O mój ty Otulku! puścić ja cię nie mogę. Sama obawa, że mi możesz zginąć na wieki, serceby mi stoczyła. Dniem ni nocą nie miałabym żadnego miru. Tysiące niebezpieczeństw, które ci tylko zagrozić mogą, staną mi w duchu pod najrozmaitszą postacią. Raz ujrzę cię w ciemnym boru wśród zwierzów drapieżnych; widzę cię, jak ci z przestrachu pot z czoła kipi, słyszę cię o pomoc wołającego. Nikt cię nie słyszy. Zginiesz więc w okamgnieniu. Teraz znowu widzę cię przy drodze leżącego, widzę cię, jak jesteś znużony i jak z głodu umierasz. Nikt ci nie spieszy z ratunkiem; a ja, matka twoja, jestem daleko od ciebie. Ja ci nie mogę ani podać chleba, ani co posłać choć tylko snopek słomy, ani ci też opatrzeć nóg twoich zranionych. Ach! nic nie mogę, jak tylko płakać, ach! płakać poki mi łez wystarczy; potem zaś i tego nie będę mogła. Inną razą ujrzę zamek rycerski. Wszystko na około okropne; olbrzymie skały głoszą mi głośno, że to jest grób Lytrycha. Z za kraty żelaznej słyszę jęki i wzdychanie za ukochaną matką. Ach! oto jest mego syna. To głos mego Otona. Przykuty na wieczne czasy, będziesz tam musiał skończyć dni swoje. Znikąd nie otrzymasz ratunku. Utracę cię więc na zawsze. Życie twoje stanie mi się okropniejszym smutkiem. niż sama śmierć. Ach! serce mi pęknie. Nie! nie zniosę tego. Umrę. O Boże, Boże!"

Dalej mówić nie mogła. Z wlepionemi w ziemię oczyma gorzko płakała. Lecz Oton chcąc ją pocieszyć, rzekł: "Moja matko! ty sobie też już wszystko wyobrażasz, co mi się tylko najgorszego może przytrafić Lecz porzuć straszne te myśli, a rozważ że wszędzie jestem w pieczy Najwyższego. Jestem przekonany, że mię znowu przyprowadzi w macierzyńskie twe objęcia. Będę także na krótki czas z tobą tylko rozłączony. Jeszcze rok nie upłynie a już do ciebie powrócę. A cóż to za radość będzie, kiedy ci wiadomość o najdroższym mym ojcu przyniosę. O wierzaj mi, owa jedyna chwila w której się znowu zobaczymy, w której mię znowu przyciśniesz do łona, wynagrodzi ci wszelką boleść i obawę, w czasie mej niebytności udręczającą cię Bądź więc spokojną, droga matko! Zaufaj Bogu, poleć mię Jego opatrzności i módl się za mną. Wtedy powędruję sobie wesoło, bo Bóg i modły mojej matki będą mi przewodniczyć. Cóż? Podoba ci się teraz zamiar twego syna?

Teodora milczała przez chwilę. Podniósłszy potem ku niebu ręce, rzekła z przyciskiem: "Dobrze! więc skończyła się walka moja wewnętrzna. Bież więc w imię Boga mój synu! Oddałam cię opiekuńczej Jego opatrzności. Serce moje zapewnia mi twój powrót, wróży mi, iż cię może weselsza, niż w łez chwili, zobaczę." Teraz sobie otarła z łez oczy. I Oton stał się weselszym. Widział on już w duchu mnóstwo wspaniałych zamków. A w nocy śniło mu się nawet o wielkim, skalistym grodzie, na którym ojca swojego oglądał.

Czas przed podróżą Otona — upływał wśród różnych przygotowań. Teodora uszyła mu szatę podług kroju dla ówczesnych sokolników. Dobrze leżała ta odzież na smagłej postaci młodzieńca, Kurtka jasno-zielona z rękawami obszernemi i zagiętemi od-

bijała się pięknie na żółtych, kozłowych spodniach. Czerwone zaś buciki z cholewkami, niższą tylko połowę ikry okrywającemi, powiększały biel pończoch, czarną aksamitową podwiązką podwiązanych. Na jego biodrach owijał się szeroki pas skórzanny, a sprzączka stalowa połyskiwała przy tymże. Na głowie miał czarny barecik z rozporkiem, sznurkiem szczerozłotym obszyty, który to sznurek Teodora wraz z innemi drogiemi rzeczami owej okropnej nocy była uratowała. Na boku bareciku powiewało zielone pióro z jakiegoś wielkiego ptaka. Było ono ku kędziorom jasnych jego włosów nachylone, a te kędziory spadały mu tysiącem na barki. Usłyszawszy o jego zamiarze wieśniacy, zbiegli się na pożegnanie i nie mogli się wcale napatrzyć temu ubiorowi. — W dzień przed rozpoczęciem podróży udał się był Oton do jaskini Beatusa, aby sobie wyprosić błogosławieństwo na drogę od bogobojnego Ojca. Odwiedził także Klausa i Rózię, którzy, żegnając się z nim rzewnie płakali.

Skoro zaświtało w trzeci dzień jesieni, ubrał się Oton jak najżwawiej, zawiesił sobie za pomocą dwóch mocnych rzemieni klatkę z sokołami na plecy i stanął płacząc z mandaliną pod pachą, przed matką. I ona się nie mogła wstrzymać od płaczu. "Odprowadzę cię," rzekła, "z ćwierć mili, kochany mój Otulku!" I tak wyszli z chaty. Teodora niosła zawiniątko z bielizną dla niego. Szli zaś przez ogródek. Przy altance stał wielki krzak, pełen róż ślicznie rozwiniętych. Urwawszy z nich najpiękniejszą i przypinając mu za barecik, rzekła Teodora: "Ile razy spojrzysz na ten kwiatek, wspomnij swoją na opuszczoną swoją matke" Potem poszli dalej Gdy już chatka i ogródek za nimi leżały, obejrzał się Oton kilka razy i pomyślał sobie: "Żegnam cię, cichy ty domku, w którym rosłem ażem na młodzieńca dożył. — Idąc mimo mieszkania Lejtholda, wstąpili na chwilę do niego. Lejthold i Giertruda, błogosławili mu na drogę. — "Modlić się będziemy," rzekli, "abyś, zacny młodzieńcze, szczęśliwie powrócił."

"O matkę," dodał Lejthold, "nie potrzebujesz się bynajmniej troszczyć; zostanie wśród dobrycż ludzi. Na niczem nie będzie jej zbywało. Wszystko będzie miała jak w twojej obecności."

Teraz poszli przez łąkę i zboczyli cokolwiek do pobliskiej wioski. Tu wyciągano z wszystkich okien ramiona, a głosy "Szczęśliwej podróży! Bądź zdrów! Niech cię Pan Bóg prowadzi!" dały się słyszeć. Wiele wieśniaków stało nawet przed sienią i życzyło odchodzącemu wszelkiego szczęścia.

Gdy już na wzgórzu stanęli właśnie na owem miejscu, gdzie Oton przed dziewięciu laty znużony i zgłodniały bez siły był leżał, zatrzymała się Teodora i rzekła: "Teraz się zaś wrócę, mój synu; niech cię więc Bóg prowadzi. Nie potrzeba mi cię nauczać, jak sobie masz postępować. Wszak od dzieciństwa w cnocie cię chowałem. Mam mocną nadzieję, że i w świecie ciągle będziesz pamiętał na moje nauki. Idź więc w pokoju, Pan najwyższy niech ci być raczy przewodnikiem. Niech ci zawsze błogosławi. Bądź zdrów. A gdy usłyszysz, że ojciec jeszcze żyje, przyspieszaj do mnie i przynieś stroskanej swej matce jak najrychlej pocieszającą tę wiadomość." Tu Oton zaczął łkać na głos i rzekł: "Lecz nie smuć się bardzo, gdy cię opuszczę. Pamiętaj, że gdy w maju kwiatki kwitnąć zaczną, znowu tu będę u ciebie." Poczem pocałowawszy ją w rękę z czułością, wyrzekł jeszcze: "Dziękuję, za wszystko dobre, za macierzyńską troskliwość." Teodora zamknęła go z płaczem w swoich objęciach i ucałowała go. A dając mu zawiniątko, rzekła: "Teraz się rozstańmy. Ja wrócę do chatki a ty pójdziesz w świat. w świat daleki!" Tak się też stało. Teodora zstępowała po tej stronie a Oton zstępował po tamtej stronie z góry. Stawał on jeszcze po kilka razy i oglądał się na wierzchołek wzgórza. Albo matka dawno już znikła, przecię jeszcze wołał: "Bądź mi zdrowa! Bądź mi zdrowa!"

(Ciąg dalszy nastąpi).

DESZCZ I POGODA.

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE

p. LEONA GOZLAN,

TŁOMACZENIE Z FRANCUZKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Anzelm.

Tak blizko?

Wiktosia.

Prawie przed drzwiami naszego pałacu (*czyta.*) "Mirandon ma wzrok okrutny, pełen inteligencyi, uśmiech ironiczny, czoło wysokie, włosy bujne".... O Mirandon, Mirandon, dla mężczyzn niemiłosierny, dla kobiet pełen uszanowania i uprzejmości.

Anzelm.

Nie znam się na tem, ale co wiem, to wiem, że teraz więcej, jak kiedykolwiek dziękuję Bogu, że tego łotra schwytano. Lecz proszę teraz pomódz mi pozbierać te kawałki, bo gdy pani baronowa zobaczy te dowody swej złości, gotowa powtórnie się pogniewać.

Wiktosia.

Mogła nie tłuc barometru, czyż to jego wina, że od 6-ciu miesięcy ciągle deszcz, deszcz i ulewna burza.

Anzelm.

Z drugiej strony trzeba znów przyznać, że to bardzo nudne, przyjechawszy na wieś, by się bawić na świeżym powietrzu, jeździć konno, a tu przez 6 miesięcy leje, jak z konwi.

Wiktosia.

Bogactwo nie daje wszystkiego, jeszczeby tego brakowało, aby bogaci mogli sobie według woli deszcz i pogodę sprowadzić. Chwała Bogu, że deszcz pada, tem prędzej do miasta wrócimy. Nie rozumiem po co tu siedzimy — nudno aż strach! Na miejscu pani baronowej, anibym się chwili nie namyślała, wsiadłabym do wagonu i fiu! (*udaje lokomotywę świszcząc.*)

Anzelm (*także udając.*)

Fiu, fiu, fiu! .. To łatwo powiedzieć a świat?

Wiktosia.

Cóż świat?

Anzelm.

Co świat by powiedział, czy to wolno przed grudniem przyjeżdżać do miasta, mając swoją wieś i pałac?

Wiktosia.

Więc koniecznie trzeba 8 miesięcy na wsi przesiedzieć!?

Anzelm.

Nie inaczej! Świat!

Wiktosia.

Choćby się miało zachorować!?

Anzelm.

Ha, świat!

Wiktosia.

Choćby umrzeć z nudów?

Anzelm.

Cóż robić? Oj, tak panno Wiktosio, ten świat!

Wiktosia.

To ja muszę do najlepszego świata należeć, bo się tu strasznie nudzę.

Anzelm *(na stronie.)*

Dam jej teraz dowód mojej wyższej edukacyi (*głośno.*) A łąki, a rzeki nic do panny Wiktosi nie przemawiają?

Wiktosia.

Nic, ani słowa.

Anzelm.

A drzewa?

Wiktosia.

Nie znam nic głupszego nad drzewa.

Anzelm.

Ale niebo?

Wiktosia.

Czy w mieście nie ma nieba?

Anzelm.

To panna Wiktosia poezyi nigdy nie czytałaś?

Wiktosia.

Nie.

Anzelm.

Proszę więc słuchać! *(bardzo deklamacyjnie.)*

Strumyk szumi, szybko bieży,
Wśród zieleni, jak wąż śmieje,
Człowiek tworzy, okiem mierzy,
Tych dzieł stwórcę.

Wiktosia.

Dosyć, dosyć, mówmy o czem innem.

Anzelm.

Więc powiem pannie Wiktosi prozą, że państwo Roberwat dziś w południe przyjeżdżają i spodziewać się należy, że ta wizyta pani baronowy i pannie Wiktosi nerwy uspokoi, a że tu dwa miesiące zabawią... Otóż pani Baronowa!

SCENA III.

Ciż i Baronowa.

Baronowa *(nie widząc ich.)*

Kwiecień deszcz, maj deszcz, czerwiec deszcz, lipiec deszcz, sierpień deszcz. początek września deszcz, (*spostrzegając ich.*) Co tutaj robicie?

Anzelm.

Zbieraliśmy potłuczony barometr (*wychodzi z barometrem.*)

Baronowa.

Co to trzymasz w ręku?

Wiktosia.

Dziennik i właśniem coś wyczytała, co panią baronową pewnie ucieszy. Sławny rozbójnik, którego pani baronowa tak się obawiała, schwytany ztąd niedaleko.

Baronowa.

Nareszcie! Jestem uszczęśliwioną, wiele ja nocy niespokojnych miałam, we śnie go widywałam. (*Wiktosia wychodzi.*)

SCENA IV.

Baronowa *(siedząc, patrzy w okno.)*

Ciągły deszcz, ten czas gorszy, jak potop, to potop trwał tylko 40 dni a tu 6 razy dłużej deszcz pada. Mówią, że ta okolica, to raj, piękny mi raj, w którym się człowiek boi utopić. Oczekiwałam Bonardów, lecz odpowiedzieli mi, że rzeka tak wezbrała, iż przeprawić się nie mogą. Państwo Henrykowie zniechęceni ustawicznym deszczem, wyjechali do Włoch. Bornetowie piszą mi, że nie myślą wiele powracać do domu, bo nad Renem czas cudowny, gdy zaś tutaj... Tak więc na całą okolicę jestem samiuteńka. Poczciwi Robertoatowie litują się nademną, obiecali zjechać tutaj na 2 miesiące, bez nich umarłabym z nudów, dziś w południe ich oczekuję. Ah, jak będzie mi wesoło. Bo wieleż to ich przyjedzie. Najpierw pan Robertoat, bardzo miły człowiek, potem jego syn, porucznik ułanów, jego córka i nareszcie jego żona, najprzyjemniejsza kobieta, której nie miałabym nic do zarzucenia, gdyby nie chciała powtórnie wydać mnie za mąż. Raz spróbowałam, mam dosyć. — Ma też z niemi przybyć jakiś nieznajomy i z nim to zapewne chcą mnie swatać. Teraz 9ta więc za 3 godziny dopiero tu będą.

(Ciąg dalszy nastąpi.)